

Australia - Przypadek czy Przeznaczenie? Maj 2004 rok.

Odcinek 1.

Witam Cię serdecznie na kartach moich wspomnień.



To moje pierwsze kroki w pisaniu fotoreportażu. Początkowo dzieliłam się nimi tylko z grupą znajomych. Opisywałam wrażenia w programie word i posyłałam im w mailach. Kiedy postanowiłam założyć swoją własną stronę w Internecie, o ciekawych zakątkach mogły przeczytać również inne osoby. Relacje układałam chronologicznie i dzisiaj są również dla Ciebie.

Australijski temat jest interesujący nie tylko z racji wrażeń, jakie z tego odległego kontynentu przywiozłam. Jest ważny także ze względu na obecną trudną sytuację w Polsce i możliwości pracy zarobkowej dla naszej młodzieży. Dlatego dołączę wszystkie informacje, jakie na temat pracy w Australii udało mi się zebrać.

Australijski materiał podzieliłam na kilka 6 odcinków:

1. Lot na Antypody - przypadek czy przeznaczenie?
2. Moja nauka w australijskiej szkole.
3. Sydney z bliska i z daleka.
4. Rafy na Morzu Koralowym, Rain Forest, Busz.
5. Góry Błękitne i Koala Park.
6. Olimpic Station.

Odcinek 1. Lot na Atypody.

Moja przygoda z Australią była wielkim przypadkiem. Zaczęła się pewnego majowego dnia, kiedy zadzwonił telefon i mama uczennicy, której udzielałam korepetycji, zapytała: „Pani Renato - czy nie przeleciałaby się pani z moją córką na wakacje do Australii?”.

Prawdę mówiąc to bym się przeleciała, tylko nie wiedziałam, czy pani Irena nie żartuje, bo poczucie humoru miała zawsze.

Mówiła jednak całkiem poważnie.

Sprawa przedstawiała się tak: w Sydney, od kilku miesięcy mieszka jej syn Arek, teraz 23-letni chłopak, notabene kiedyś też mój uczeń. Wyjechał tam z kolegą, aby rozpocząć nowe życie. Pani Irena chciaaby mu dowieźć na wakacje 16-letnią Gosię, młodszą siostrę, aby ćwiczyła angielski (w przyszłym roku zdaje maturę) i przy okazji zobaczyła, jak jej brat radzi sobie w wielkim świecie. A że podróż jest daleka i obawia się wysłać córkę samą, pomyślała, że byłabym jej dobrą opiekunką.

Ta niesamowita propozycja bardzo mnie zaskoczyła. Ja i Australia?

Pani Irena kontynuowała: „Zapłaci sobie pani bilet na samolot, a już tam na miejscu jakoś sobie poradzicie. Arek pracuje w restauracji, zupy wam przyniesie, głodne chodzić nie będziecie”.

Czy można oprzeć się takiej propozycji a zarazem pokusie? Przez moją głowę zaczęły przewijać się fantastyczne przyszłe dni pełne nowych wrażeń, obrazów nieznanej mi z bliska przyrody i życia na dalekim kontynencie.



Realia nadwyrężyły mój budżet bardziej niż początkowo przypuszczałam, ale na razie jeszcze tego nie wiedziałam:)

Zastanawiałam się jeden wieczór, bo co innego spotkać się z uczennicą na godzinę korepetycji, a co innego żyć z nią pod jednym dachem przez dwa miesiące. To jest innego rodzaju odpowiedzialność. Czy podołam?

Zgodziłam się w przekonaniu, że warto spróbować. Taka okazja i próba mego charakteru może już nigdy się nie powtórzyć.

Ruszyła machina załatwiania formalności. Jest firma w Krakowie, która za opłatą, wtedy około 100 \$, wszystko za Ciebie załatwi: wizę, bilety lotnicze, szkołę i pracę w Sydney. Oszczędzasz czas na wyjazd do Warszawy i stanie w kolejkach ambasady. To adres tej firmy:

A.C.I.C.

ul. Fiołkowa 10/172

Kraków

Anna Piotrowska tel. (012) 290 - 45 - 45

I tak 31 czerwca 2004 roku, żegnane przez rodzinę Gosi i mojego przyjaciela, wylatywałyśmy z Krakowa do Wiednia, a stamtąd na wakacje do Sydney.

Kraków - Balice 7:30



Kiedy usiadłyśmy w fotelach i samolot włączył silniki wiedziałyśmy, że od tej pory musimy radzić sobie same.

Po godzinie lotu byłyśmy w stolicy walca. Przeszłyśmy odprawę paszportową, dostałyśmy karty pokładowe i czekałyśmy na lot do Sydney, który miał trwać 22 godziny. W końcu wystartowałyśmy. Był to bezpośredni lot z jednym postojem na dotankowanie paliwa - w stolicy Malezji czyli Kuala Lumpur.

W samolocie.



Lotnisko w Kuala Lumpur.



Kuala Lumpur. Tankowanie trwało godzinę.



Obowiązuje tu zakaz fotografowania wszelkich obiektów. Serce biło mi mocno z obawy czy nie zapłacę mandatu, ale chęć posiadania takiego egzotycznego zdjęcia wzięła górę.



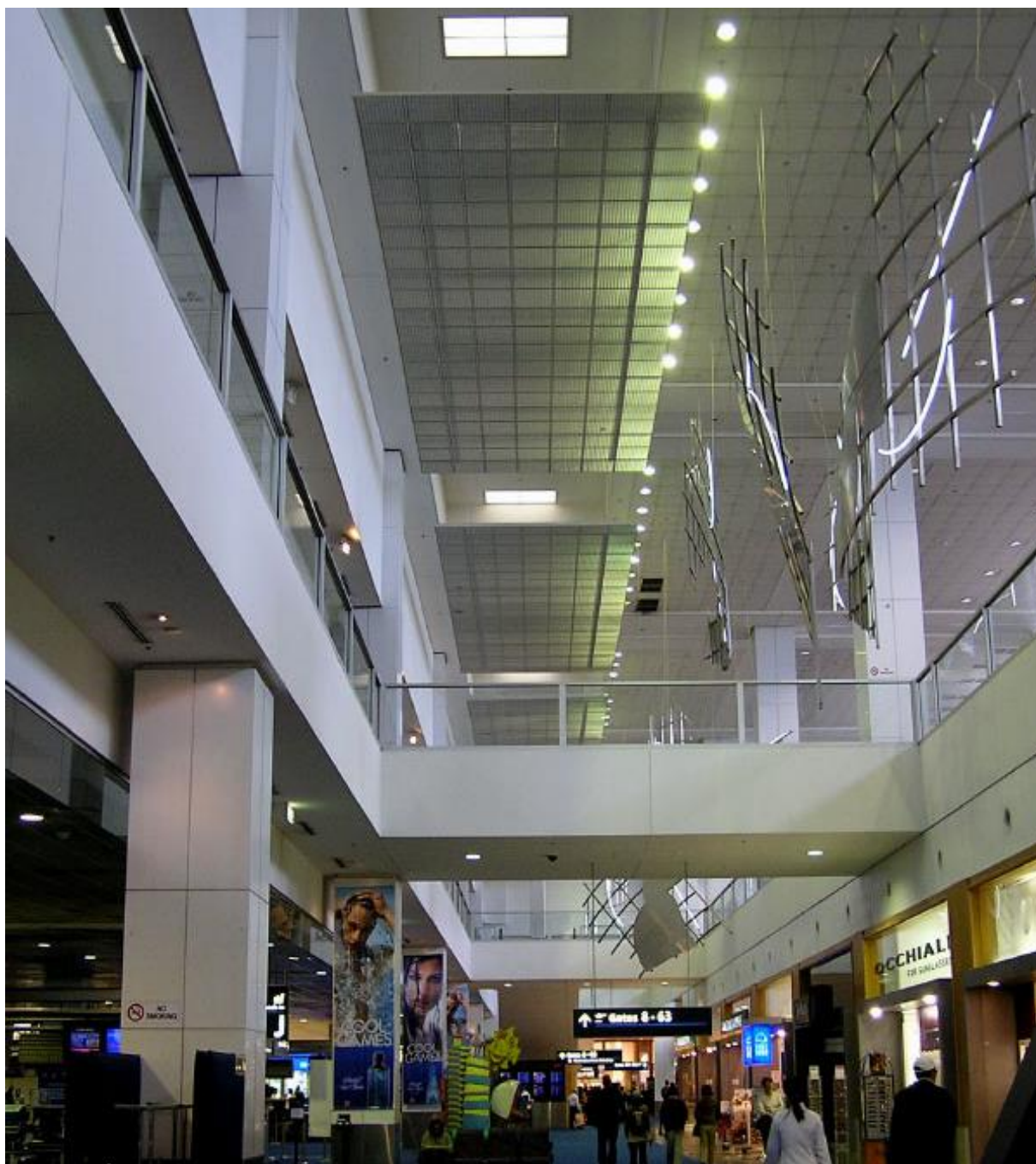
Po uzupełnieniu paliwa wyleciałyśmy w dalszą podniebną drogę, zaciekawione, pełne pytań bez odpowiedzi, głównie jak to z nami będzie na drugim końcu świata. Wszystko zależało od naszych umiejętności radzenia sobie w nowych sytuacjach. Bardzo trudno było mi przetrwać te dłużące się niemiłosiernie godziny. Najbardziej dokuczał mi brak dymka, skręcało mnie okropnie. Postanowiłam, że za dwa miesiące, w drodze powrotnej do Polski, jakoś mądrze muszę sobie poradzić z tym papierosowym stresem.

Australia z okienka samolotu. Czas na Antypodach ustala się dodając do polskiego 10 godzin.



Wystartowaliśmy z Krakowa o 7:30, a doleciałyśmy do Sydney nazajutrz o 17:30. W tym czasie biegły do przodu wskazówki naszych zegarków, a jednocześnie krążyła wokół Słońca nasza planeta Ziemia.

U celu podróży. Terminal międzynarodowy w Sydney.



To lotnisko nazywa się Kingsford Smith i jest głównym węzłem komunikacji lotniczej Australii, łączącym ten kraj z wieloma miastami świata. Ten największy port lotniczy położony jest około 10 km na południe od miasta. Corocznie obsługuje 20-30 mln pasażerów. Do ich dyspozycji są trzy terminale, w tym jeden międzynarodowy i dwa krajowe. Znajdują się w bliskim sąsiedztwie i można pomiędzy nimi przemieszczać się pieszo lub lotniczymi autobusami. Ciekawostką jest, że to lotnisko ma własną stację kolejową, dzięki której można dotrzeć do centrum miasta bez korzystania z taksówki.



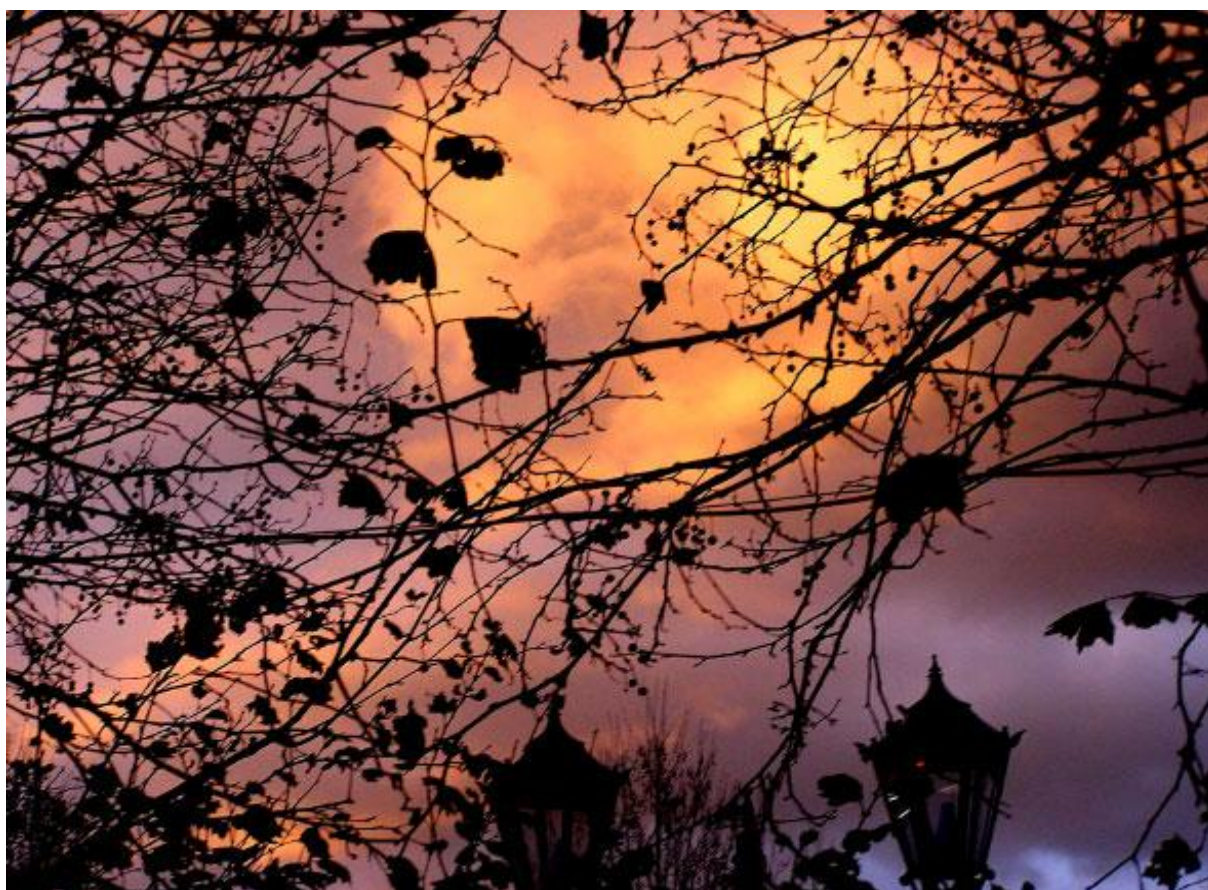
Na lotnisku czekał na nas Arek i jego kolega a zarazem współlokator Bartek. Zapakowaliśmy do auta nasze bagaże i wkrótce, ku mojemu zaskoczeniu zapadł zmrok. No tak, przecież kiedy u nas jest lato, w Australii panuje astronomiczna zima.



Niebo urzekło mnie od pierwszych chwil, kiedy wyszliśmy na zewnątrz. Byłam pod jego urokiem przez wszystkie dni mojego pobytu w Australii.



Popołudniowe słońce powoli chowa się za horyzontem, malując niebo odcieniami wrzosu i złota.





Jeszcze przed wylotem mama Gosi powiedziała mi, że zimą w Australii jest tak, jak w Polsce mniej więcej we wrześniu i że najcieplejszą rzecz, jaką zabrać ze sobą Arek, była lekka wiatrówka. Do walizki spakowałam więc przede wszystkim strój kąpielowy, bo lubię się opalać i w zasadzie same letnie rzeczy. Na koniec dorzuciłam kurtkę i ciepły sweter - wkrótce okazało się, że uratowały moje zdrowie i kieszeń.

To nasz australijski dom. Arek, Bartek i jego dziewczyna Moe wynajmowali tu mieszkanie, które wcześniej nie było ogrzewane. Brrr. W pokojach mieliśmy zazwyczaj 13 stopni, a 11 było na dworze. Taka temperatura była w Sydney, zaś w innych regionach albo zimniej albo cieplej.



Zmarzłam już pierwszej nocy. Jeśli z chłodnego otoczenia wchodzisz do zimnego mieszkania i nie masz szans ogrzać się, to łupie po kościach, że hej. Przyjemnie było tylko w południe. Wieczorem, czyli o 18-tej, temperatura spadała i chodziłam po domu naubierana w prawie całą zawartość walizki. Napętnialiśmy z Gosią gorącą wodą plastikowe pojemniki i trzymałyśmy je na kolanach albo wkładałyśmy pod kołdry, żeby ogrzać sobie spanko. Po kilku takich dniach pobiegłam do sklepu dokupić cieplejsze rzeczy.

Przed nami była perspektywa wspaniałych wrażeń, więc trzeba było dziarsko się trzymać i przechodzić nad niektórymi sprawami do porządku dziennego. Jednak do dzisiejszego dnia pamiętam, jak marzłam w Sydney.

Prywatne domy w naszej dzielnicy były jak marzenie.





Przedstawię Ci moją wakacyjną rodzinę.

To zdjęcie zrobione jest końcem sierpnia, kiedy na dworze było o wiele cieplej.

Z przodu: Bartek, za nim jego japońska narzeczona Moe, ja, Gosia, Arek i jego kolega, który był wtedy z nami na wycieczce. Uśmiechnięte buzie skrywają swoje tajemnice:)



Pierwszą noc przespaliśmy w piątkę, a nazajutrz Bartek z Moe wyjechali do jej rodzinnego domu w Japonii. Ja, Gosia i Arek zostaliśmy sami. Zrobiliśmy naradę i zgodnie ustaliliśmy, że wydatki, a więc czynsz, prąd, telefon i internet dzielimy na troje. Na początek należało zaaklimatyzować się i przestawić swój biologiczny zegar na nowe geograficzne realia. A za dwa dni miałyśmy zgłosić się do szkoły, którą w Polsce opłaciłyśmy. Arek uczęszczał do niej już około pół roku, Gosię mama zapisała na lipiec i sierpień, ja postanowiłam uczyć się w tym collegu tylko przez lipiec.

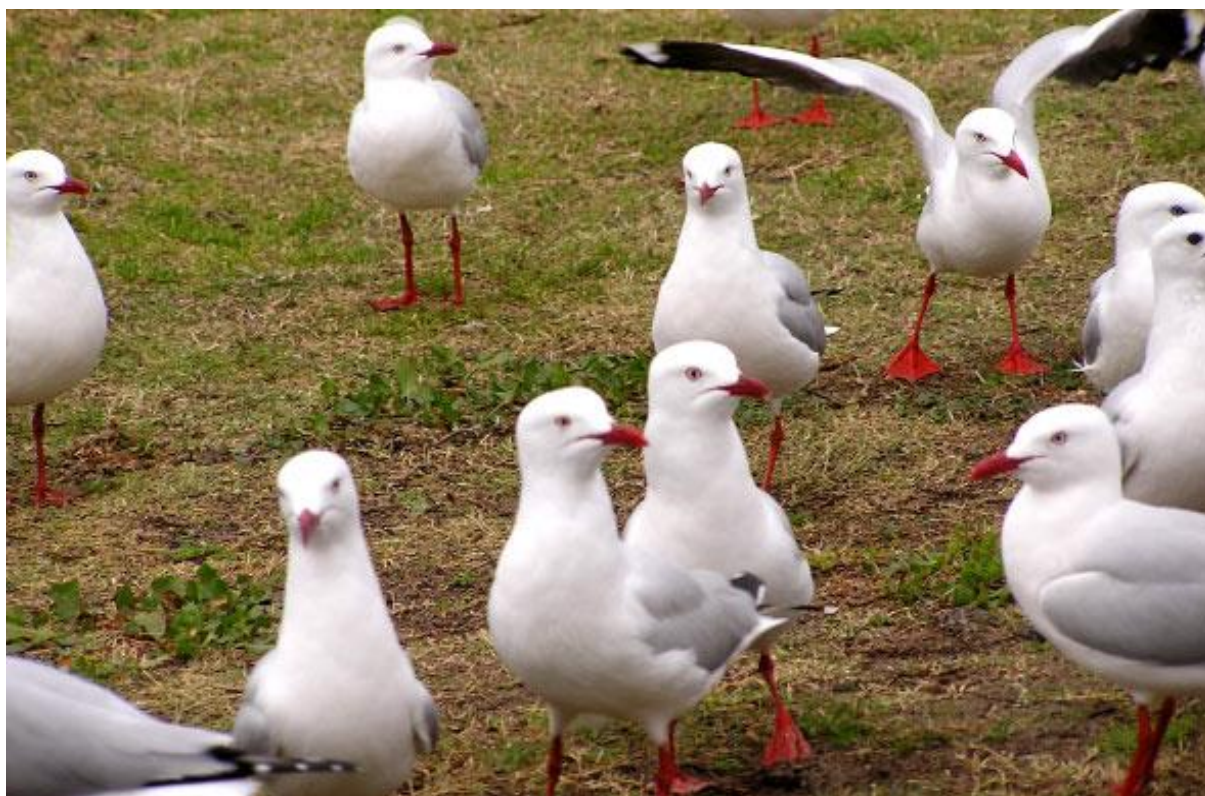
Kiedy solidnie wypałyśmy się, Arek zabrał nas nad ocean. Jeszcze nie docierało do mnie, że jestem w tak odległym od Polski miejscu. Przygoda nabierała rumieńców.



Niespokojny Ocean Spokojny.



Mew jest na plaży dużo. Znalazły tu miejsce do zdobywania pokarmu z resztek jedzenia i tego, co wygrzebią z ziemi.



Dawno temu byłam u wróżki. Powiedziała mi, że w przyszłości będę podróżować daleko za oceany. Jej przepowiednia była dla mnie absurdalna i przeszła mimo uszu, bo do tej pory co najwyżej jeździłam na europejskie wczasy. A jednak dobry los chciał, że ścieżki życia przywiodły mnie tutaj i to, co nieprawdopodobne stało się rzeczywistością. Jeszcze dla mnie mało znaną, ale już bliską w dotyku.

W następnym odcinku opowiem Ci o nauce w australijskiej szkole.

Pozdrawiam Cię serdecznie,

Zielona Gałązka

www.renatabednarz.pl

Port w Sydney.

